Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 18. Września 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 38.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZŁOTA NITKA

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy.)

— Nie... nie o... o... oce... ceceniony! — wykrzyknął u okna ex-profesor, którego wyborne naśladowanie modlącej się żebraczki z horyzontu europejskiej polityki pomiędzy uciechy rodzinne ściągnęło. Odezwanie się to jego wywołało pomysł do uciechy nowej. Okimski zerwał się z krzesła.

— Panie profesorze! prosimy do *bałamuta!*

— Prosimy wujaszku, prosimy! Wujaszek pewnie po panu Ludwiku czepek odziedziczy!

— A na... na... turalnie! ja ba... ba... ba... łamut taki!

— Felcia dziś nie gra z nami i tak nas mało. .

Gromadnie opadnięto profesora i ciągnięto go ku stołowi za ręce i poły starego mundura. Widząc to zdesperowane położenie starego przyjaciela swego, ciotka Liniewska postanowiła je z nim podzielić. Energicznym ruchem zrzuciła z kolan swych siatki i włóczki, i powstała.

— Poczekajcież — rzekła — kiedyś za młodu byłam trochę bałamutką, może też i na starość być nią potrafię... dajcie mi krzesło...

Radość z pociągnięcia dwojga starych przyjaciół do gry w *bałamuta* była wielką i powszechną. Posadzono ich obok i zaraz zawołano, że wujaszek i ciocia wyglądają teraz jak pan pastor i pani pastorowa.

— Grajmy w pastora i pastorowę, ja nadzyczaj lubię pastorów! — zawołała panna Michalina z ognistem wejrzeniem na Okimskiego, który był podobno wyznawcą religji reformowanej.

Pomyślano i spełniono. W mgnieniu oka *bałamut* zamienił się w pana pastora i panią pastorowę.

Felicja przyniosła kawę dla p. Skwierskiej, za nią zaś służąca wniosła i na stołach umieściła koszyki z owocami, jakoteż stosy deserowych talerzy i nożów.

— O jakie śliczne jabłuszka! — zawołał p. Józef — nie myślałem, żeby takie piękne owoce można było jeszcze w tej porze znaleźć. Ale czego to moja Felcia nie znajdzie.

Ponieważ w tej chwili właśnie stała obok niego, dla matki pomarańczę obierając, pocałował ją w rękę.

— Już to — ozwała się pani Skwierska — takiego dobrego męża jak p. Józef, trudno znaleźć. Za wszystko żonie tak pięknie i grzecznie dziękuje...

— Felciu! stołeczek pod nogi! — poskarzyła się staruszka.

Przyniosła matce stołeczek pod nogi i wróciła do mnie. Ja także po wypiciu kawy jadłam owoce. Od owoców rozmowa bardzo łatwo stoczyła się ku wsi. Dowiedziałam się, że Felicja urodzona i wychowana była na wsi.

— Wiem o tem, mówiła, że wielkie miasta są bardzo potrzebne na świecie i mogą też być bardzo wesołe. Po co jednak Pan Bóg kazał historji stwarzać małe miasteczka? nie rozumiem.

— W rodzinnej wiosce mojej — opowiadała mi po chwili — pamiętam miejsce jedno, które szczególnie kochałam. Była to łąka, nic tylko łąka, trochę niska z trawą bardzo zawsze zieloną i kępami różowej koniczyny... W jednem miejscu rosła tam...

— Felciu! wiesz co? żeby to trochę tej ratafijki... co to wiesz! Może i pani dobrodziejka amatorka... leciuchna!

Nie wiem dla czego dość głośno brzęknęła kluczykami obciążającemi kieszeń jej fartuszka. Wstała i wyszła. Po chwili wróciła ze służącą, która niosła na tacy ratafję i kieliszki. Nalała trunek do kieliszków, rozdała je tym, którzy grali w preferansa i pastorowę. Staruszka ratafji nie piła i kazała sobie podać pudełeczko z lukrecją. Przyniosła pudełeczko. Mąż pocałował ją znowu w rękę. Wróciła do kanapki naszej i siadając tak jakby opowiadania a przynajmniej myślenia jej o wiosce rodzinnej nic wcale nie przerwało, mówić zaczęła.

— Rosła tam grupa bardzo starych olch, wśród których w letnie południe było tak cicho jak pod samem niebem. Tylko te żółte wilgi gwizdały. I teraz jeszcze, kiedy zamknę oczy, widzę czasem pod powieką starą krzywą olchę i zdaje mi się, że słyszę gwizdanie wilgi... Czy pani doświadczasz kiedy hallucynacyj takich? Ja, bardzo często, najczęściej wtedy, kiedy jestem zmęczoną. Dość mi zamknąć powieki, aby przesuwały się przedemną różne obrazy i twarze... prędko, prędko zjawiają się i nikną — ale czasem twarz jakaś zjawi się tak wyraźnie, stoi przedemną tak długo...

W salonie robiło się szaro i cicho. Przy preferansowym stoliku gospodarz domu i matka jego usnęli, a raczej zadrzemali, na tych samych krzesłach i w tych samych prawie postawach, w jakich grali w preferansa. Staruszka trzymała nawet jeszcze rozpostarte w wachlarz karty, które jednak stopniowo wypadały z jej palców. Karty p. Józefa rozsypały się już dawno na kolana jego i podłogę, chrapał z lekka. Pani Skwierska i gimnaziści zniknęli, a po kątach salonu słychać było przytłumione szepty. Ciotka i wuj szeptali pomiędzy sobą o dobrych dawnych czasach; panna Michalina i p. Okimski o tem, co kawa-

lera, który minął już czterdziestkę, swata i żeni: serce, ludzie czy djabeł? Panna Emilja i p. Teofil o tem, czy miłość nieodwzajemniona zabija czy nie zabija? Na te cztery pary ludzkie, jako też na stoły pełne rozrzuconych kart, wypróżnionych szklanek, kieliszków, garnuszków, okruch ciast, łupin od owoców i zbrudzonych noży opuszczał się szary woal utkany z dymu cygar i papierosów i z napływającego przez trzy wielkie okna — zmroku.

— Czy pani widziałaś kiedy wieś, w której mieszka pan Tarnicki? — zapytała mię z cicha siedząca obok mnie kobieta.

Nie czekając odpowiedzi mojej pytała dalej:

— Czy nie doświadczasz pani tego, że pragniemy znać miejsca, w których żyją ludzie, będący dla nas czemś więcej nad te sekundy, które tak monotonnie, jednostajnie wydzwania zegar ten?

Nie zaraz odpowiedziałam. Mimowoli wsłuchałam się w metaliczny tentent stojącego w rogu salonu zegara. Ona słuchała go także.

— Czy zrozumiesz to pani — zapytała jeszcze — że można mieć w sercu jakąś smutną radość, która o szarej godzinie, gdy ciszej trochę koło nas i nic do robienia nie mamy, wije się pomiędzy sekundami temi, jak złota nitka?

Jeden z humorystów naszych dowcipnie się wyraził, że ktoby chciał zacność bohatera jego przenieść na inne miejsce świata, musiałby w celu tym wynająć oddzielny wagon towarowy — tak wielką była ona. Myślałam też nieraz, że dla przewiezienia zacności rodziny Olińskich trzebaby było oddzielnego a długiego pociągu — tak jej było wiele. Nie myliłam się, z pierwszego rzutu oka wnosząc, że p. Franciszka Olińska była dobrą i bogobojną matroną. Dowiedziałam się potem, że długie życie jej przedstawiało kroplę rosy, na której osiadło trochę zaledwie powszednich pyłków. Była ona naprzód córką, potem żoną, potem matką, potem babką; wszystkie czynności, do związków tych przywiązane spełniała prawidłowo; wszystkich swoich kochała dostatecznie i wszyscy swoi dostatecznie ją kochali; nie doświadczyła katastrofy żadnej moralnej ani materjalnej i teraz także, mieszkając przy synie, utrzymywała się z funduszów własnych, nie wielkich, ale dostatecznych.

Cóż mówić o synie jej, p. Józefie? Był on wszechstronnie do niej podobnym. Też rysy pospolite, ale przyjemne, taż czystość życia i zupełna prawidłowość uczuć. Nie skrzywdził nigdy nikogo, a chętnie wszystkim drobne wyświadczał przysługi; każdej soboty rozdarował ubogim rozmienionego na grosze rubla, a zupełne zadowolenie z bytu i położenia, które się mu dostały w udziale, czyniły go łagodnym i wesołym. Wprawdzie widziałam parę razy, że pod wpływem drobnej troski lub przykrości, targał się on w zniecierpliwieniu swem, jak więzień w przeraźliwie dzwoniących kajdanach. Albo czasem płakał trochę. Że jednak drobne nawet troski i przykrości dotykały go rzadko, normalnym jego stanem była wesoła dobroć.

Około cnót i zalet dwu tych głównych w rodzinie osób grupowały się cnoty i zalety innych członków rodziny. Najbardziej rozczulała mię zawsze przyjaźń i cześć okazywana przez ex-profesora Chomskiego łagodnej a bardzo podobno ubogiej ciotce Liniewskiej. W objawach tych było wiele delikatności i dobroci serca, bo pochodziły one przeważnie ze względu na ubóstwo właśnie i najtrudniejszą ze wszystkich pozycję Liniewskiej w domu Olińskich. Ona była mu za to szczerze wdzięczną,— co także coś na tym świecie znaczy i zdaje mi się nawet, że para ta kochała się trochę czulszem niż przyjaźń uczuciem. Nie mogłam też nigdy obronić się od myśli, że gazetowa manja pana Alojzego miała źródło swe w szlachetnej ciekawości, którą obudzały w nim losy świata i że manja do robót ręcznych p. Liniewskiej pochodziła ze szlachetnej chęci przysłużenia się czemkolwiek domowi, któremu byt swów zawdzięczała. Chęci przysługiwania się komukolwiek czemkolwiek, dwie panny: Michalina i Emilja, nie doświadczały wprawdzie w stopniu najmniejszym; w zamian jednak nie pragnęły też one szkodzić nikomu i niczemu, co także coś na tym świecie znaczy. Pragnęły one tylko podobać się i wyjść za mąż, a tymczasem módz bez przeszkody przesiadywać na kanapkach, szezlongach i fotelach, z jednych na drugie przenosząc się, stosownie do postawy ciała, którą przybrać chciały. Niepodobna też zaprzeczyć, że codzienne rozrywki i przyjemności rodziny tej były całkiem niewinnemi i najgorsza chyba wola mogłaby upatrzyć w nich cokolwiek występnego lub choćby szkodliwego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA I PISMA
Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Według tłumaczenia «Wieku»).

Emigracja węgierska w Genui. — Organizacja oddziałów.

(Ciąg dalszy)

Przybyłem do Genui w dniu 22. czerwca.

Oddział nasz składał się podówczas z tysiąca ludzi i liczył dwa bataliony zostające pod dowództwem półkownika Ihasz. Oddział stał w Acqui.

Zauważyłem, że organizacja pozostawiała jeszcze wiele do życzenia i że należało lękać się dalszych opóźnień, o które tak łatwo przy zwykłej powolności i o formalnościach wynikających z biurokratycznej pedanterji.

Porozumiawszy się obszerniej z kolegami, opracowałem natychmiast memorjał i wręczyłem go księciu Napoleonowi w Parmie, dnia 28. czerwca.

Treść tego memorjału jest następująca:

„W nadziei, że obecna wojna stanie się podwaliną niepodległości Węgier, zawiązało się we Włoszech wojsko narodowe węgierskie. Komitet narodowy, który kierować ma tem przedsięwzięciem, nie może spodziewać się rychłych i pomyślnych rezultatów, jeśli nie będzie w stanie oprzeć organizacji wojska na podstawach narodowych, tak ze względu na taktykę jako i na formę zewnętrzną.

„Oto są warunki, przy pomocy których można będzie spodziewać się wielkiego zapału wśród naszych szeregów istniejących w obecnej chwili, oraz wpłynąć na jak największe ich wzmocnienie siłami madiarskiemi, przybywajacemi z wojska austrjackiego.

„1. Węgrzy przybywający do wojska otrzymują ze strony komitetu narodowego zapewnienie, że służba ich we Włoszech jest przejściową, i że dzięki onej, będą mogli walczyć na ziemi węgierskiej za wolność tejże ziemi.

2. Będą tak uorganizowani, że zagranicą nawet będą mogli uważać się za wojsko narodowe. Nie mogą się zaś poczytywać za żołnierzy węgierskich, nie mogą pielęgnować typu narodowego, który tak wielki budzi w nich zapał, skoro wyekwipowano ich tem, co się znalazło w magazynach wojennych Piemontu, które, mówiąc nawiasem, są już na wyczerpaniu.

„Co się tyczy taktyki i organizacji wewnętrznej należy zauważyć, że na to, aby wojsko węgierskie, pozostające we Włoszech, mogło w ciągu obecnej wojny stać się czynnikiem poważnym, mającym wywrzeć znaczny, a może nawet stanowczy wpływ na rezultat tejże wojny, trzeba aby systemat służący tej organizacji za podstawę, był taki, iżby później, gdy wojsko przejdzie do Węgier, można było w jego kadrach jak najspieszniej pomieścić wszystkie siły, jakiemi Węgry rozporządzają.

„Węgry liczą wraz z posiadłościami 15 milionów mieszkańców i mogą z łatwością dostarczyć 150—200 tysięcy żołnierza, a w tej liczbie 20 do 25 tysięcy kawalerji.

„Jeżeli we Włoszech utworzy się oddział liczący 8—10 tysięcy, wówczas w ciągu sześciu lub ośmiu tygodni, wszystkie siły Węgier postawić zdołamy na stopie wojennej, byle organizacja tutejszego oddziału odbyła się prawidłowo i zgodnie z narodowemi wymaganiami. Tymczasem, jeżeli przyjmiemy system piemoncki, swoją drogą bardzo dobry, ale nieodpowiadający naszym potrzebom i wymaganiom, zadanie nasze, gdy przybędziemy do Węgier, nietylko nie będzie ułatwionem, ale przeciwnie. Nie będziemy bowiem mogli rozszerzyć kadrów naszych, ale wypadnie je nam najpierw zmienić, iżbyśmy mogli siły krajowe assymilować.

„Jest to tak dalece słusznem i prawdziwem, że nie należy żołnierzowi bez potrzeby narzucać nowej formy i nowych zwyczajów, że uznaliśmy słuszność tego nawet w r. 1848 i pozostawiliśmy nietkniętym systemat austrjacki, pomimo, że nie mógł on nam przypadać do smaku. Przezorność ta wyszła nam na dobre.

„Gdyby zatem dzisiaj narzucono żołnierzom naszym systemat piemoncki, musieliby oni najpierw odzwyczaić się od praktyk austrjackich, dalej przyzwyczaić się do systemu piemonckiego, a potem zamienić to wszystko na system madziarski.

„Bataliony piemonckie są nieliczne. Może to być dobrem w kraju, w którym panuje system rezerwy. Nam, o ile mi się zdaje, potrzeba liczniejszych batalionów; tak licznych mianowicie, iżby każdy z nich przedstawiał sam w sobie pewną całość taktyczną, zdolną do walki nawet

wówczas, gdyby wynikły jakie straty w skutek bitwy lub zbyt ciężkiego a forsownego marszu.

„Należy też zwrócić uwagę na umundurowanie. Rzecz prosta, że magazyny piemonckie nie mogą nam dostarczyć mundurów węgierskich.

„Zbywa nam na oficerach, i wypadnie niebawem wezwać tych, którzy się znajdują w Turcji, w Anglii, w Ameryce. Niezbędnym jest dla nich zasiłek na odbycie podróży.

„Rozkaz królewski opiewa, że oficerowie ranni otrzymają pensję; pożądanem byłoby, aby przyrzeczono wszystkim oficerom, że, o ile nie będą mogli przedostać się do Węgier, wbrew nadziejom ogólnie dziś żywionym, zawsze jednak po ukończonej kampanii, pozostaną w tym samym stopniu, w jednej ze sprzymierzonych armij, a przynajmniej, że otrzymają gratyfikację wyrównywającą całkowitej rocznej pensji.

„Poczytuję sobie również za mój najświętszy obowiązek zapytać, co będzie z żołnierzami w tym nieszczęśliwym wypadku, gdy kampania nie wywalczy Węgrom niepodległości? Niepodobna na chwilę przypuścić, aby tych biednych wygnańców miano wprost rozpuścić; raczej nie namawiałbym i nie zachęcał do oddziałów, gdyby tak być miało. Nieodzowną jest rzeczą, abym mógł ich uspokoić w tym względzie. Co najmniej należałoby przyrzec im, że pokój nie będzie zawarty, dopóki im nie będzie dozwolono swobodnie wrócić do kraju. Rozumie się, należy także pomyśleć o gratyfikacjach dla żołnierzy.

„Z uwagi na to, co się powiedziało, pragnąłbym, aby zostały uwzględnione następujące moje propozycje:

„1. Organizacja wojska oparta będzie na systemie naszym, który bliżej wyjaśnię za powrotem do Genui.

„2. Nominacje i awanse udzielane będą na wniosek komitetu narodowego.

„3. Oficerowie otrzymają zasiłek na umundurowanie, żołnierze zaliczkę. Jest to zwyczaj przyjęty u nas i pomijać go byłoby rzeczą niewłaściwą. Komitet, pragnąc zachować go od pierwszej chwili, był zmuszony zapobiedz potrzebom ztąd wynikającym z funduszów oddanych do naszego rozporządzenia przez cesarza Francuzów; fundusze te jednak inne mają przeznaczenie, i dla tego prosimy, aby zaradzono temu położeniu w odpowiedni sposób.

„4. Komitet narodowy zamianuje komisję, która zajmować się będzie sprawą umundurowania pod kontrolą komisarza wojskowego, mianowanego przez rząd sardyński.

„5. Komitet narodowy przedstawi budżet wyekwipowania 4—5 tysięcy ludzi; po zatwierdzeniu tego budżetu przez komisarza królewskiego, suma wskazana budżetem, zostanie oddana do naszego rozporządzenia tak, aby umundurowanie i wyekwipowanie mogło odbyć się w najszybszym przeciągu czasu, pod kontrolą wspomnionego komisarza.

„6. Wszystkie fundusze, użyte w tym celu, będą uważane za pożyczkę, którą spłaci naród węgierski.

„7. Jeżeli dalsze zwycięstwa dozwolą wojskom państw sprzymierzonych posunąć się naprzód, siedziba komitetu i magazyny przeniesione zostaną do Medjolanu; Austrjacy długo zajmowali to miasto, i bezwątpienia, łatwiej będzie tam niż w Genui o ludzi umiejących szybko pracować nad umundurowaniem Węgrów.

„8. Jak tylko wyporządzimy jeden batalion, będzie go można wysłać do Piacenzy, do Pizzighettone albo Cremony. Jeżeli okaże się potrzeba wysłać go na pole walki, pożądanem byłoby, aby dowodził nim Węgier, podległy rozumie się, dowódcy korpusu, oraz, aby batalion ten przyłączony został do prawego skrzydła wojsk sprzymierzonych, w ten sam mniej więcej sposób, jak wojska generała Garibaldego umieszczone zostały na lewem skrzydle. Tym sposobem wojsko węgierskie od pierwszej chwili będzie mogło być przekonane, że każdy krok przybliża je do ojczyzny.

„9. Jest rzeczą niezbędną, aby Węgrzy mogli być w mojem imieniu zapewnieni, że zaciągają się do szeregów w celu przejścia na ziemię węgierską i walczenia o niepodległość ojczyznę. Inaczej propaganda na rzecz oddziałów węgierskich wśród szeregów austrjackich może pozostać bez skutku, a kto wie nawet, czy bez takiego zapewnienia już zaciągnięci żołnierze zechcą złożyć przysięgę.

„10. Sama myśl, że walczymy po za krajem przeciw wojskom austrjackim, wśród których znajduje się sporo współbraci naszych, Madjarów, musi budzić uczucie nieopisanie bolesne w sercu każdego Węgra. Dla tego pozwolę sobie zwrócić uwagę na to, aby baczono pilnie na sposób spożytkowania naszych oddziałów na ziemi włoskiej. Mojem zdaniem, w obecnej chwili wojsko nasze nie powinno mieć za zadanie zapewnienia lub ułatwienia w sposób bezpośredni zwycięztwa wojskom sprzymierzonym — wreszcie nie wydaje się to koniecznem. Nie. Według mnie dość będzie, jeżeli wojsko to manifestować będzie swą obecność, a widok sztandaru madjarskiego, powiewającego nad naszym oddziałem, musi zelektryzować Węgrów, znajdujących się w szeregach nieprzyjacielskich, i spowodować rozstrój wśród tychże szeregów. Na tę okoliczność, niezmiernie ważną, według mnie, pozwolę sobie szczególny nacisk położyć.

„11. W ostatnich czasach Austrjacy pomieścili bardzo wielu Węgrów w pułkach utworzonych w innych prowincjach cesarstwa, albo też w prowincjach należących tylko do Węgier; a tymczasem do obecnej chwili oddano do naszego rozporządzenia tylko tych jeńców, którzy należeli do pułków węgierskich, innych zaś wysłano do Francji; otóż w ten sposób znajduje się obecnie we Francji około kilkuset jeńców węgierskich. Byłoby do życzenia, aby oddawano nam na przyszłość wszystkich jeńców węgierskich, bez względu na to, czy pułk, w którym służyli, był węgierski lub nie. Dodam, że dobrze też byłoby, aby mógł być utworzony oddzielny batalion kroacki na wypadek, gdybyśmy mieli dostać się na ziemię węgierską od strony Kroacji.

„Parma, 28. czerwca 1859.

Kossuth,
Prezes komitetu narodowego węgierskiego.

* * *

Przedstawiwszy powyższy memorjał księciu Napoleonowi, udałem się z p. Piétri do Valleggio, gdzie znajdowała się główna kwatera cesarza.

Udaliśmy się zaraz do niego. Przyjął mię cesarz równie życzliwie jak w Paryżu, i po dość długiej rozmowie rzekł:

— Bardzo rad byłbym, gdybym mógł zobaczyć w naszem wojsku parę batalionów węgierskich w narodowym stroju.

— Najjaśniejszy Panie, odrzekłem, kilku dni zaledwie na to potrzeba, jeżeli będziemy mieli zupełną swobodę działania oraz potrzebne fundusze, z którychbyśmy się w danej chwili wyrachowali. Ale niestety, potrwa to znacznie dłużej, jeżeli o każdą rzecz będziemy zwracali się nadal do ministerjum wojny w Turynie. Zwrócę przytem uwagę W. C. Mości na tę okoliczność, że żołnierzy naszych niepokoi bardzo przysięga, jaką winni składać na wierność królowi sardyńskiemu. Obawa ta jest bezzasadna, ale bądź co bądź istnieje. Można zapobiedz jej objawom, bez wątpienia, ale przytłumić jej niepodobna. Tymczasem zaś chodzi nam o wzbudzenie zapału wśród naszych szeregów. Wasza Cesarska Mość pojmie łatwo, jak silną po temu zawadę owa przysięga stanowi. Nie, lepiej byłoby nie wymagać tej przysięgi, teraz zwłaszcza na początku kampanji.

— Mniemam, odrzekł Napoleon, że skoro wojsko węgierskie ma do spełnienia misję czysto narodową, przysięga na wierność królowi sardyńskiemu nie jest konieczna.

Jakoż ułożone zostało, że żołnierze nasi nie będą tej przysięgi składali, a tem samem będą utwierdzeni jeszcze bardziej co do narodowego charakteru sprawy przez się bronionej. Cesarz upoważnił mię do oznajmienia tego Cavourowi, który ze swej strony także się na to zgodził, i przysięga, o którą chodziło, została zniesiona. Zamiast niej, wprowadzono rodzaj przyrzeczenia posłuszeństwa, a w formule przyrzeczenia imię Wiktora Emanuela nie miało być nawet wspomniane. Przyrzekano tylko posłuszeństwo względem praw i przepisów służbowych.

Z kolei zwróciłem uwagę cesarza na sprawę umundurowania. I tutaj cesarz zgodził się na moje propozycje.

— To prawda, rzekł po namyśle. W magazynach piemonckich nie ma ani pantalonów węgierskich, ani butów z cholewami, ani czamar.

I zwracając się do obecnego pod tę porę Pietrego, dodał:

— Pietri, będziesz towarzyszył p. Kossuthowi do Turynu. Powiedz w mojem imieniu Cavourowi, że życzę sobie, aby co się tyczy umundurowania i w ogóle wyporządzenia armji węgierskiej, pozostawiono zupełną swobodę działania p. Kossuthowi i jego współtowarzyszom. Pragnę jak najprędzej ujrzeć bataliony węgierskie gotowe do boju. Jeżeli Cavour będzie stawiał jakiekolwiek trudności z powodu pieniędzy, postarasz się, aby je usunąć, i aby nie wynikło ztąd żadne opóźnienie.

Rozumie się, że trudności zostały usunięte, i że do nas już tylko należało dowieść, że jesteśmy w stanie szybko działać.

Jakoż liczba naszych żołnierzy rosła szybko. Mieliśmy ich już przeszło cztery tysiące. Zwołałem przeto członków komitetu, komisję generałów i pułkowników dowodzących brygadami, na wspólną naradę do Turynu. Odbyła się ona w dniu 4. lipca. Ułożyliśmy w ciągu tej sesji sposób i formę umundurowania; zatwierdziliśmy kontrakty z dostawcami, którzy podjęli się wyekwipować kilka batalionów w przeciągu tygodnia; zamianowaliśmy komitet, mający czuwać nad szczegółami wyporządzenia wojsk pod przewodnictwem generała Czecza, który złożył Cavourowi memorjał zredagowany według treści

mojego memorjału, przedstawionego księciu Napoleonowi.

W dniu 5. lipca, wraz z p. Pietri, ułożyliśmy ostatnie szczegóły.

Mieliśmy podówczas już dwie brygady, złożone z pięciu batalionów. Pierwsza zostawała pod rozkazami pułkownika Daniela de Ihasz, druga pod rozkazami pułkownika Mikołaja de Kiss.

Założywszy w ten sposób trwałe podwaliny organizacji wojska narodowego, zaczęliśmy z niewysłowionem uczuciem zadowolenia obliczać przypuszczalny termin powrotu do ojczyzny na czele licznych zastępów Madjarów. Snuliśmy złotą przędzę marzeń tak już blizkich urzeczywistnienia, wyobrażaliśmy sobie zapał współbraci na widok sztandarów narodowych, pojawiających się nareszcie na tej ziemi, krwią i łzami przesiąkłej; obliczaliśmy siłę naszego wojska, po wstąpieniu do jego szeregów całej madjarskiej młodzieży i przypominaliśmy sobie bohaterstwo naszych z czasów ostatniej wojny, mówiliśmy o niepodległości, jako o rzeczy blizkiej, która teraz minąć nas nie powinna.

To było 5. lipca.

* * *

Jak grom, spadły z pogodnego nieba, ugodziła w nas tegoż dnia wiadomość o katastrofie w Villafranca!

Wszystkie nasze nadzieje zostały unicestwione, tworzenie wojska narodowego stało się niemożliwem i niepotrzebnem.

Wszystko się skończyło — wszystko!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ARABESKI.

Na ludzi przewrotność wyrzeka
Każdy jak umie,
I sądzi, że mądry, gdy w tłumie
Lichego nam wskaże człowieka.

Ty, ludzi chcąc poznać, tą drogą
Nie dąż do celu!
Źli w oko każdemu wpaść mogą,
Lecz dobrych oceni niewielu.

Gdzie w noc, tylko cień niezgłębiony
Widzisz na niebie,
Tam świateł dostrzega miljony
Mędrszy od ciebie.

Bóg stubarwne stworzył kwiaty
I rozsiał je po świecie,
A jak kwiatom barwy tęczy,
Tak dał piękność kobiecie.

Lecz jest taka między kwiatem
A kobietą różnica,
Że gdy jedną upodobasz,
Ta cię tylko zachwyca.

Czesław.

Kronika Tygodniowa.

(*B.*) W ubiegłą środę 14. b. m. rozpoczęła się nowa kadencja sejmowa, w nowym gmachu sejmowym, pod nowym marszałkiem i nową marszałkowską laską...

Pisma codzienne wyprzedziły nas z opisaniem tak samej uroczystości otwarcia, jak i pierwszych sejmowych posiedzeń — my więc tylko notujemy dzisiaj fakt rozpoczęcia trudnej pracy posłów naszych „daj Boże szczęśliwie“, jak powiada Jmć pan Chryzostom Pasek.

* * *

P. Jägerman postawił kilka dni temu w Radzie miejskiej interpelację, co do wypadku zbyt długiego przetrzymania ciała zmarłej osoby w ciasnem mieszkaniu prywatnem, na którą odpowiedziano mu ni to ni owo. „Gazeta Narodowa“ podniosła tę interpelację i wykazała potrzebę urządzenia kaplic dla zmarłych przy parafialnych kościołach i... na tem skończyło się wszystko. My jeszcze dawniej pisaliśmy o tym przedmiocie obszernie, wykazywaliśmy całą okropność barbarzyńskiego zwyczaju trzymania ciał po mieszkaniach prywatnych, stawialiśmy za przykład Warszawę i inne miasta — lecz projekt nasz nie znalazł nigdzie najmniejszego odgłosu. To samo będzie i dziś — bo u nas tylko wyższa polityka porusza umysły. Wojna w Tunisie i król Kalakana, to co innego, o tem dyskutować warto, ale że tam ktoś umarł na ospę i leży sobie trzy dni wśród kilkudziesięciu osób w ciasnym, dusznym domu i zaraża je—to bagatela, o której i myśleć nie opłaci się... Zresztą przyznać należy, że nie ma w Europie drugiego miasta, gdzieby głosy publicystyki tak były lekceważone, jak u nas. Weźmy za przykład Warszawę. Tam rządzą Moskale i rządzą samowolnie, bez wszelkiej ceremonji i bez wszelkiej kontroli, a jednak niech tylko prasa poruszy jakąkolwiek sprawę, niech poda jaki projekt lub objawi władzom swe uwagi, starannie, ma się rozumieć, obwinięte w bawełnę — natychmiast władze te albo roztrząsają podany projekt, albo usprawiedliwiają się publicznie z poczynionych im zarzutów, często niesłusznych zupełnie. U nas inaczej. Przez kilka lat z rzędu np. i my i inne pisma podnosiliśmy brak czwartej części książek szkolnych — a świetna Rada szkolna nie raczyła zwrócić na to najmniejszej uwagi. Podobnież poruszała prasa nasza niejednokrotnie kwestję, czy nie lepiejby było, w obec surowości naszego klimatu, ażeby dzieci chodziły do szkoły raz tylko na dzień, tak jak to ma miejsce w innych krajach monarchji, w Tryeście np. I cóż ztąd? Ankieta szkolna nawet, która rok prawie cały obradowała i tom gruby swych obrad spisała, kwestji powyższej ani jednem nie poruszyła słowem. Tak samo robią u nas wszystkie władze i instytucje, bądź rządowe bądź autonomiczne; jeden Zarząd pocztowy, właśnie najsprężyściej i najporządniej prowadzony, postępuje inaczej. Czy takie śmieszne pozowanie na własną wielkość i nieomylność jest przyzwoitem i obywatelskiem spełnianiem obowiązków, to pozostawiamy zdaniu ogółu — a w sprawie kaplic dla zmarłych zwracamy się już nie do świetnej Rady miejskiej, ale wprost osobiście do p. Jägermana, który, bądź co bądź, sam jeden w Radzie energją, wytrwałością i uporem może przeprowadzić tę sprawę, tak palącą i tak ważną dla zdrowia miasta i przyzwoitości publicznej.

* * *

— Nakładem antora opuściła prasę maleńka książeczka o 32 stronicach druku p. t. „Projekt uposażenia szkół wiejskich gruntami, opracował i przedłożył jako wniosek pod obrady krajowej konferencji nauczycieli szkół ludowych odbytej we Lwowie w sierpniu 1881 r. Roman Andrusikiewicz, okręgowy inspektor szkół w Gorlicach.“

Autor był lat ośm nauczycielem po wsiach, piętnaście w miasteczkach i cztery lata inspektorem szkół ludowych, a więc ma za sobą powagę dwudziestu siedmiu lat pracy w swoim zawodzie. Na tem większą więc uwagę zasługuje głos jego, poparty zresztą takiemi imionami jak Tadeusza Czackiego i Hugona Kołłątaja, których projekt wyposażenia szkół wiejskich gruntami, podnosi i swojem doświadczeniem stwierdza. Autor stanowczo oświadcza, iż dzisiejsza szkoła w Galicji nie odpowiada w zupełności swemu celowi, a to z powodów: że najważniejsza dla wiejskiej dziatwy nauka gospodarstwa wiejskiego nie może być z pożytkiem wykładana, ponieważ przy szkołach nie ma gruntów, a rolnictwa z książki nauczyć się nie można; że nauczyciele będąc źle uposażeni i sami żyć nie mają z czego i dziatwy swej kształcić i zmuszeni będąc żebrać między ludem, nie mają u niego żadnej powagi i nie mogą wywierać zbawiennego wpływu na lud. Aby zaradzić temu, p. A. żąda nadania szkole od 8 do 15 morgów gruntu wraz z odpowiednim inwentarzem. Wyposażenie to szkół, projektuje autor Sejmowi, kosztem samychże nauczycieli, wyjaśniając sposoby tego wyposażenia i jak ono stanowczo wpłynie na polepszenie losu nauczyciela, na nadanie praktycznego kierunku nauce wiejskich szkół i na ogólny stan moralny i materjalny ludu naszego. Podzielając w zupełności wszystkie uwagi autora, na jedno byśmy się tylko nie zgodzili, t. j., aby to uposażenie gruntami szkoły miało być kosztem pensji nauczycielskiej (300—500 zlr.). Czyż kraj, który ma fundusze na budowę gmachu sejmowego, na teatra, opery, na tysiączne rozmaite mniej ważne sprawy, na wykupno propinacji, pańszczyzny etc. etc., nie powinien z funduszów ogólnych pokryć tę najważniejszą potrzebę? — Pojmujemy jednak obawy autora — niestety, w zbyt świeżej mamy pamięci rozprawy sejmowe zeszłoroczne i obcięcie wydatków na szkoły ludowe! U nas na wszystko znajdą się fundusze, tylko nie na oświatę ludu, bo oświata ludu to... przyszłość Polski. Więc autor chcąc projekt swój oprzeć na realniejszej podstawie, proponuje wyposażenie szkoły ludowej gruntami, z których korzystać będzie nauczyciel, kosztem pensji tegoż nauczyciela.

Obecne naukowe stanowisko hypnotyzmu.

III.

Niemcy długo nie chcieli wierzyć w doświadczenia Charcota i jego pomocników, wzruszali ramionami i dopiero pojawienie się wędrownego magnetyzera Hansena dało początek naukowemu zajęciu się tą kwestją.

Po zbadaniu produkcji Hansena przez Weinholda, pp. Heidenhaim prof. filzjologji i Grüntzer asystent instytutu fizjologicznego, we Wrocławiu zaczęli wykonywać doświadczenia na własną rękę. Udały im się one znakomicie. W zeszłym roku, na zjeździe lekarzy i naturalistów niemieckich w Gdańsku, Grützner demonstrował uczonemu towarzystwu następujące zjawiska.

Dwudziestu młodych ludzi, wychowańców wyższych zakładów naukowych Gdańska, usadził w dwóch szeregach i każdemu dał w rękę pryzmatycznie oszlifowany błyszczący guzik szklanny wielkości orzecha laskowego. Kazał im oczy utkwić w guzik i patrzeć nań z całą uwagą. Zastrzegł sobie, iż w sali musi panować zupełna cisza...

Po 5 minutach p. Grützner przystąpił cicho do jednego z młodzieńców, kazał mu zamknąć oczy i zaczął pociągać rękami, (które nie powinny być zimne) po twarzy, piersi i ramionach. Po pewnym czasie zapytał go się po cichu, aby uwagi innych nie odwrócić — czy śpi; kazał mu oczy otworzyć, a gdy mu się to udało, polecił mu dalej patrzeć w guzik i przeszedł do następnego subjekta doświadczalnego, z którym tak samo postąpił. W ten sposób przeszedł eksperymentator 3 razy cały szereg, zachowując jak największy spokój i ciszę...

Obecni zauważyli, że dwaj czy trzej młodzieńcy nie mogli już odpowiedzieć na pytanie „czy pan śpi"; również nie mogli oczu otworzyć, albo podnosili powieki z trudnością.

P. Grützner uznał ich za skłonnych do hypnotyzmu, innych zaś uwolnił od doświadczenia.

Każdego z trzech usposobionych wprawiał w stan hypnotyczny za pomocą wyżej opisanych pociągań

Sen ich był nierównej mocy...

Pierwszy wpadł w stan półsenny i mógł stać, gdy go przyprowadzono do postawy pionowej; nie mógł oczu otworzyć, nie mógł odpowiedzieć na zapytanie, jak się nazywa, chociaż, jak później objaśnił, doskonale wiedział, co się koło niego dzieje i o co go się pytają.

Drugi młodzieniec anemiczny, słabowity, okazywał zjawisko daleko wyżej posunięte; pojawił się u niego popęd do naśladownictwa, oraz halłucynacje.

Zahypnotyzowany w sposób powyższy, wstał na rozkaz, chwiejąc się, oczy miał zamknięte, postąpił kilka kroków za eksperymentatorem i szedł zanim dalej choć go ten puścił.

P. Grützner szedł w takt i głośno stawiał kroki.

— Czy widzisz pan tę młodą panię? — zapytał eksperymentator.— Zatańcz pan z nią! no! Obejmijże ją pan!

Hypnotyzowany szedł niepewnie naprzód, szukał czegoś rękami. Na twarzy jego widać było wyraz przestrachu i natężenia. Objął jakiegoś pana blisko stojącego i zaczął z nim tańczyć.

Grützner dmuchnął mu w oczy: hypnotyzowany przeląkł się i obudził, widocznie z nieprzyjemnem uczuciem.

Był jakby zakłopotany, przecierał sobie oczy i na zapytanie odpowiedział, iż widział pannę, z którą tańczył.

„Największy sceptyk, powiada sprawozdawca z czynności zjazdu, został przekonany, iż ma tu przed sobą zjawisko fizjologiczne z wyłączeniem wszelkiej symulacji."

U trzeciego medjum udało się dość prędko panu Grütznerowi stężyć jedną z kończyn, za pomocą pocierań pewnych grup mięśni; nadawał jej następnie najniezwyklejsze położenia, w których tak długo pozostawała, aż p. Grützner nie dmuchnął medium w oczy.

Młodzieniec ten opowiedział po ocknięciu się, że wszystko słyszał i wiedział, co od niego żądają, i że jemu samemu śmiesznem się zdało, iż nie może odpowiedzieć na pytanie, jak się nazywa i w jakiem mieście się znajduje; nie mógł zaś uczynić tego dla tej przyczyny, iż niepodobna mu było ust otworzyć.

Grützner objaśnił zebranym, że wywołał tylko kilka najważniejszych zjawisk, a gdyby chciał demonstrować wszystkie rozliczne objawy hypnotyzmu, to musiałby użyć na to kilku tygodni czasu i czynić doświadczenia na setkach osób, *albowiem każde medium tylko pewną określoną ilość zjawisk okazuje.*

Na żądanie obecnych p. Grützner naszkicował ogólny zarys owych doświadczeń.

Zjawiska hypnotyczne zależą od indywidualności skłonnej do hypnotyzmu osoby; pomimo to pomiędzy stu osobami zahypnotyzowanemi zauważył następujące typy zasadnicze:

1. Stan snu spokojnego z nienaruszoną samowiedzą i czułością, w którym tylko nie można oczu otworzyć; ten rodzaj hypnotyzmu zdarza się u osób słabych i panien.

2. Stan charakteryzujący się głównie stężeniem mięśni, w którym niektóre grupy mięśni tracą zmysł dotyku; stan ten jest bardzo częsty u ludzi silnych, gimnastyków i żołnierzy.

W tym ostatnim razie zdarza się dość często tak silne tetaniczne naprężenie muskułów, że hypnotyzowany, siedzący na krześle, z nogami podniesionemi, wyciągniętemi poziomo w powietrzu, może znieść ciężar stojącego na nich człowieka, co na jawie byłoby niepodobieństwem. W tym też stanie hypnotyzowani nie mogą dobrze chodzić i mówić gdy są zapytani. Odpowiedzi nie mogą dać nie dla tego, aby pytania nie rozumieli; lecz dla tego, że nie mogą poruszyć mięśni mających udział w mowie.

3. Trzeci stan stanowi automatyczność względem rozkazów. Hypnotyzowany jest wtedy najzupełniej posłuszny wszelkim rozkazom magnetyzera. Ta forma występuje u silnie zahypnotyzowanych, gdy sen zaczyna słabnąć.

4. Stan halucynacji występuje rzadziej i jest możliwy tylko przy silnej hypnozie. Dopóki jeszcze istnieje jakiś ślad przytomności, hypnotyzowany ani myśli wierzyć słowom magnetyzera, mającym wywołać halucynacje, lecz co najwyżej śmieje mu się w oczy. Halucynacje mogą wywołać bardzo żywe wrażenia, gdyż hypnotyzowani mówią o przyjemnych halucynacjach, jako o stanie błogości i żałują, że ich obudzono. Straszne zaś widziadła muszą być bardzo przykre, albowiem poddani doświadczeniu pragną, aby wszystko z niemi robiono, byleby okropnych snów nie wywoływano. Jeden z hypnotyzowanych, któremu prof. Heindenhein podsunął myśl, że lew na niego napada, był potem przez noce marzeniem tem męczony.

Stosunkowo dość rzadko eksperymentatorowi zdarzało się obserwować stan naśladownictwa, w którym hypnotyzowany z oczyma nawpół lub zupełnie otwartemi naśladuje wszelkie czynności magnetyzera. Niektórzy naśladują tylko łatwe czynności, inni najsubtelniejsze i najbardziej skomplikowane. Pewien hypnotyzowany przepisywał greckie litery, choć się nigdy po grecku nie uczył. Ten popęd do naśladownictwa jest tak silny, że Grützner nie wątpi, iż hypnotyzowany wbiłby sobie sztylet w serce, gdyby magnetyzer udawał tę czynność. Nadto naśladowanie bywa niezmiernie dokładne, tak, że hypnotyzowany udaje do złudzenia sposób mówienia i wyraz twarzy magnetyzera.

Ciekawem niezmiernie jest następujące zjawisko, sprawdzone przez Heidenhaina; gdy pociągniemy palcem po skórze hypnotyzowanego ku dołowi, w miejscu odpowiadającem żołądkowi, to z ust jego wydobędzie się głos podobny do jęku i stękania, koncentrując zaś głos na to miejsce lub na kark za pomocą lejka głosowego *(Schalltrichter)*, wywołujemy powtarzanie naszych słów przez hypnotyzowanego, bez względu na to czy mowa nasza będzie dla niego zrozumiałą lub nie.

Pocierając lekko kość czołową i ciemieniową z jednej strony, wywołuje się bezmówność *(aphasia)* i ślepotę na barwy w oku odpowiednim. Gdy tej samej manipulacji dokonamy z drugiej strony, ślepota na barwy zniknie. Cechy tych zjawisk bywają rozmaite u różnych indywiduów.

Moglibyśmy jeszcze więcej niezmiernie ciekawych faktów przytoczyć. Przedewszystkiem zasługiwałyby na uwagę doświadczenia nad działaniem elektryczności w hypnotyzmie. Ale zdążając szybkim krokiem ku końcowi artykułu, którego objętość nie może przekroczyć ram popularnego pisma, musimy je odłożyć na przyszłość. Tu tylko powiemy jeszcze kilka słów o hypnotyzmie u... koni.

(Dokończenie nastąpi.)

Turysta - pedagog

wspomnienie trzech wycieczek w kołomyjskie góry

podał

Marceli Turkawski.

(Ciąg dalszy.)

Według stopnia ściślejszej znajomości i intencji potworzyło się skutkiem tego mnóstwo obozowisk, raczej grup siedzących wschodnim zwyczajem turystów i turystek, co z apetytem spożywali zapasy koszykowe i ruchome bufety wędrownych „grajzlerów" żydowskich. Bez tych ostatnich nic i nigdzie się nie obejdzie! Tym gastronomicznym wyścigom i libacjom akompaniowała do taktu usadowiona na wydatnem wzgórzu nasza kapela, przygrywając po największej części narodowe spiewy i tańce, między któremi wiodła rej kołomyjka, skoczna, hałaśliwa i smętna...

Zanim dalszy na Rokietę pochód się rozpoczął, korzystali zebrani turyści z obecności zamówionego poprzednio fotografa kołomyjskiego, aby dać z siebie pod bramą zdjąć widok. Członkowie zarządu i komitetu zajęli na koniach honorowe, pierwsze stanowisko pod samym tryumfalnym łukiem bramy, wszystkie inne grupy turystów i obecnych włościan stanęły w rozwartym przed nami szeregu. Każdy przeciętny

starał się o tyle naprzód wysunąć, aby z niego choć głowa była uwiecznioną. Po dwakroć zdejmował ten nieporadny mistrz chemji nasz obraz, na nieszczęście ciekawi czarodziejskiej sztuki Huculy wtargnęli niepostrzeżenie na samym szczycie do jego fotograficznego gabinetu i mieli (tak przynajmniej twierdził) potłuc mu szkła. To też nie dziw, że z poskładanych następnie kawałków szkła fotogram całości wypadł bardzo miernie...

Nowe pakowanie koszów i zawiniątek i ustawienie się po dawnemu, rozpoczęło wędrówkę, która z powodu większej stoczystości Rokiety, niż Stouby, była bardziej nużącą i przykrą. Łagodziły męczarnię częściowo świerki i jodły, co porastając dość gęsto stoki tej góry, nie dopuszczały gorąca południowego słońca. Pomimo całkiem naturalnego zmęczenia, nie zbywało turystom na ochocie skrócenia sobie drogi przez obranie płaju (ścieżki) wcale spadzistego, po którym z forsownem natężeniem sił muszkularnych wydostaliśmy się na gładką, niezarośniętą połoninę, która pokrywa szczyt Rokiety. Tu na kilkadziesiąt kroków od najwyższego punktu, na leciuchnym stoku czuba rokieckiego, postawili dla nas leśnicy długi i wygodny szałas z desek i gałęzi, a opodal na uboczu małą kolybę (budę) na skład piwniczny. Przestronnie tam rozmieszczeni czekaliśmy chwilę na powolniejszych towarzyszów, którzy dłuższym łukiem woleli objechać i obejść Rokietę po leśnej drożynie, niż (jak my odważniejsi) przepaścistym pędzić płajem. Samo południe zastało koło turystowskie, zebrane w komplecie w szałasie Rokiety. Wpływ jednak piekącego na dolinach słoneczka, nie dawał się bynajmniej czuć na tak znacznem wzniesieniu lądu, owszem sprawiał nawet pożądaną łagodność stanu powietrza, tak spokojnego i świeżego, że osłabiona pierś turystów wzdymała się swobodnie pod jego naciskiem, z chciwą żądzą zaczerpnięcia go w jak najpełniejszej mierze.

Cel więc naszej wycieczki... dopięty, usiłowania komitetu w połowie dokonane pomyślnie! Co za tryumf?! Na drewnianych stołach szałasu rozkładają piękne gosposie swe zapasowe skarby jadła i napoju, tu drób i pieczyste, tam ciasta, bakalie i torty, w środku émi się gęsty las flaszek i flaszeczek z różnemi esencjami życia. A jaka zgoda i jedność w zapraszaniu? Gdybyś, obcy przybyszu, miał kamienne serce, naładowany był aż do sytości od rana tylu śniadankami, musisz uledz bezinteresownej gościnności szczebiotliwych Polek, musisz tu i tam coś wziąć, ukąsić i łyknąć!...

Zwinni żydkowie od bufetu bocznego wyprzedzili swych współwyznawców od muzyki, którzy z wielką biedą wydobyli się na wierzch góry, przeklinając komitet na czem świat stoi. Jeden cymbalista z tej trupy, niepomiernie zfatygowany pieszą wędrówką, jakiej pewnie w swem życiu nie odbywał i jużby więcej za złoto nie odbył, położył się w krzaki, chrapiąc tak zawzięcie, żeśmy z wielką biedą zdołali go wydobyć z ramion Morfeusza.

Że się w Polsce bez toastów nie obejdzie, rzecz to pewna; nie dziw więc, że i na Rokiecie wychylono „huk“ zdrowia i powodzenia szczęśliwego, różnych osób i towarzystw, że pod naciskiem pieniącego się wina trzaskały w rękach szklanne puhary... O naszym turyście pedagogu mało powiadamy, gdyż graniczyłoby to z bałwochwalstwem! Zaiste nie ma prawdopodobnie na kuli ziemskiej ponętniejszej i arcytrudnej posady od sekretarza, choćby i bezpłatnego. Pominąwszy etymologiczny wywód tego słowa od sekretu, dzięki któremu taki dostojnik o wielu niepotrzebnych wie rzeczach, posiada sekretarz z urzędu niezliczony zasób nowinek i szczegółów, o jakie daremnie pytałbyś prezesa lub przeciętnego wydziałowego; a że jest w jednej osobie zarazem pisarzem, korespondentem, kasjerem i duszą każdej spółki, nadto ociera się o wszystkie sfery, kąty i ściany, musi owoż być poszukiwanym i „kaptowanym“ przez całe gremium stowarzyszonych. Mówimy o tem z doświadczenia, ot n. p. na Rokiecie: nie było zawiniątka, pudełka, flaszeczki, butelki i t. p., gdzieby wszechwiedzący nie zaglądnął sekretarz, częścią dla wrodzonej ciekawości i z tytułu sekretarskiego, częścią zapraszany istotnie dla swej wszechwładnej godności to do jednego, to do drugiego i t. d. kółka. Nieodzownym tej wałęsaniny skutkiem były: lekkie dąsy jego bogdanki (uśmierzane nieustannem do niej powracaniem z kroniką rozmowy gdzieindziej toczonej) i... ciężka głowa (szczęściem dość mocna)...

Dobra kuchnia i piwniczka nie wystarczyły w cieniu siedzącym miastowcom, zachciało się im jeszcze ludowego tańca Huculów... Zaraz zrobili obecni ochotnicy kółko huculskie i dalej przy dźwiękach kołomyjki w obertasy i wywijania po swojemu. Przykład z dołu, działał też na górę! Zaświerzbiały pięty niektórym turystom... i na sposób Jana III z jaworowską kowalową, puścili się w prysiudy i szczupaka z ładniejszemi hucułkami... ku naszej pociesze a rzekomemu zgorszeniu nadobnej płci z miast, która sama czekała danego hasła, by wraz z poczciwym ludkiem, albo też osobno rzucić się w szalony wir tańca. Nastąpiło to jednak na wyższem i dogodniejszem do hasania miejscu. Zaraz bowiem po ukończeniu kołomyjki ruszyliśmy parami z muzyką na czele w wyższe regiony ku wierzchołkowi Rokiety... Była to chwila wycieczki prawdziwie uroczysta, przejąć się nią podołały nawet umysły wzburzone... trunkiem.

Z głównego szczytu Rokiety, opasanej dokoła czarnym wieńcem szpilkowego lasu, rozlega się w dal śliczny krajobraz górski, jakiegośmy dotychczas od urodzenia nie widzieli. Zarosły pożywną trawą gładki czub Rokiety obejmuje znaczną przestrzeń, po której dowolnie można się posuwać, dogodne do obserwacji obierać stanowisko, a zewsząd nasycać się prawdziwie boskim widokiem.

Równolegle do dalekiego a potężnego łańcucha Czarnohorskiego, ciągnie się właściwie podłużne pasmo Rokieta. Rozpoczyna się ono od Prutu koło Dory, dalej dąży przez Sanhowec, Myszki, Nereszny i szczyt najwyższy, zwany także Rokietą (584 m.). w kierunku południowo-wschodnim. Z ubocznych gałęzi Rokiety, znamy po nazwaniu dwa: północne odnoże z górą Jaworowa (524 m.), i południowe naprost w przeciwnym kierunku się zwracającą górę: Klewa (518 m.). Oddzielnie tuż na południu od Rokiety ku Mikuliczynowi zwraca się pasmo Gorgan (565 m.). Sama zaś Rokieta leży na granicy powiatów: kołomyjskiego i nadworniańskiego tak, że jej szczytem bieży właśnie rozgranicze.

Stojąc na wydatnym krańcu czuby rokieckiej, widzimy u stóp naszych ścielącą się, jakby w głębokim jarze lub parowie, wklęsłą i rozległą dolinę, coś nakształt rozszerzonego wąwozu, a na tej dolinie jak mrowie w barwnej mozajce plotą się: pola, gaje, wioski, rzeczki... Tuż przed nami i coraz wyżej w perspektywie ciągną się wydatne trzy pasma niebotycznych Karpat: począwszy od niskiego i równego prawie łańcucha dokładnie oświeconych pagórków, nieco mniej uwydatnionych na tle niebios wyższych wzgórz, aż do ostro zakończonych na ostatnim krańcu widnokręgu, a więc w mglistym odblasku słońca ledwie widzialnych kolosów, między którémi w całej swej okazałości panuje nad innemi szczytami śniegiem pokryta Czarnohora... Patrząc z Rokiety ku wschodowi, najwydatniej i wyraziście przedstawiają się te trzy szeregi malowniczych wyżyn: każdy z nich inną, jaskrawą świeci barwą, gubiącą się powoli w mirjady odcieni, a niebieski i białawy koloryt sklepienia nieba pysznie się nadaje na spokojne dla oka tło całego, przecudnego obrazu. Majestatyczność i dziwny spokój przyrody machinalnie udzielił się otoczeniu, wszyscy turyści, nie wyjmując prozaicznych muzykantów, w oniemieniu patrzali przed siebie, nie wiedząc, co w tem dziele Stwórcy, najpierw podziwiać!

Usłużny *cicerone* na liczne zapytania objaśniał, że Berezów leży w dolinie eliptycznej, wypełnionej grubym pokładem gliny diluwialnej. Od strony południowej, kędy droga prowadzi do Kosmacza, tej ojczyzny Dobosza, jest glinka zielonkowata, którą sprowadzają do Kołomyi i sprzedają wieśniakom do malowania chat. Dolinę przed nami leżącą otaczają zewsząd góry, które od strony północnej, jak Kniaże, Osława, Kaniugi, Gruń, Rożeta i Pleska są niskie i porosłe buczyną, od strony zaś południowej ciągną się łukiem: Wedeskuł, Rotonduł, Capuł, na której często bawią niedźwiedzie, potem Pantera i Dżymir. Z dala ku południowi widać równolegle do Rokiety pasma: Szczekaliówka (678 m.), Liszniów (660 m.), od Dory zaś Czarnohorec (737 m.), i Jawornik poza Mikuliczynem, Senik (876 m.) i Chomiak (811 m.). Ledwo w obłokach już giną iglice Magóry (667 m.), Kukulu (810 m.) i Czarnohory (1162 m.). W pośrodku tych górskich wyniosłości ku północy zwrócona mieści się nasza Rokieta, z której przez powiększające szkła doskonale widać Kołomyję, a mianowicie przedmieście stanisławowskie. Na Rokiecie biorą początek liczne potoki i strumyki od wschodniej i zachodniej strony, które zlewają następnie swe wody do Luczy i Prutca, a z niemi do zimnego a burzliwego Prutu.

Obszerna ztąd panorama na dalekie Pokucia przestwory zdolną jest przedewszystkiem zachwycić i oczarować mieszkańców miasta, nieprzyzwyczajonych do oglądania tylu naraz cudów przyrody podgórskiej. Nieodstępująca nas muzyka podnosiła ojczystemi melodjami urok piękna, a zarazem podsycała powszechną rozkosz do tego stopnia, żeśmy na miękkiej murawie z zapałem odtańczyli kadryla i galopadę. Bodaj to być młodym! Na tak znacznej wysokości zrobią młodzi w sekundzie salon zielono zapuszczonej posadzki, na której bez względu na zawód i znużenie hasają do upadłego. Już, co prawda — to prawda! Wycieczka ta złączyła serca wszystkich uczestników bez różnicy stanu. Wywarła ona również wielki wpływ na tamtejszą ludność, do którejśmy się chętnie zbliżyli, dla oświeconych warstw pozyskali, z nią zawiązaliśmy braterstwo dziejowe, — a swoją

drogą dostarczyli według możności zarobku i moralnej pomocy!

Powrót z góry odbył się dwa razy prędzej, niż pochód na Rokietę, bez przerwy i z tysiącami pociesznych zdarzeń, z jakich jeden szczególnie godzien złotego pióra sielankowego wieszcza. Jedna z najweselszych Wiedenek (tylko z urodzenia, dzisiaj najlepsza z niej „Galicjanka") poczuła ochotę nieprzepartą popróbowania huculka ostrego temperamentu, a nie zważyła wcale na brak umiejętności jazdy wierzchem i na silny zawrót główki. Siada więc jak istna amazonka na niego, i mimo przedstawień ze strony „gazdy" i towarzyszów, tak zaczęła go okładać parasolką „z grubszego końca", że uparty i ambitny konik zaczął porządnie brykać, i strącił żeńskiego jezdzca z siebie. Głupstwo tam upadek — choćby kobiety — na ziemię, wszak to rzecz ludzka, ale niefortunny sposób padania i nieszczęśliwy układ sukien po fatalnym koziołku — to skrupuł, przeszkadzający nam w szczegółowym opisie, — i to nas niezmiernie boli!.. Ale na to, jak powiadają, nie ma lekarstwa...

Na powstrzymanie w pośpiechu toczącej się na dół fali turystowskiej nie było ni sposobu, ni racji; trzeba było wraz z paniami szybko kroczyć, aby nie zostać „na szarym końcu". Wkrótce powitaliśmy naszych Szwabów i furmanów w stanie pożałowanie budzącym, bo należycie uraczonych; widocznie wzięli z nas dobry przykład i w karczmie berezowskiej tęgo się zabawili. Usadowiwszy się mimo to na dawnych siedzeniach ruszyliśmy już inną drogą na Peczeniżyn przez grzbiet pasma Rungur do domu. W północnym kierunku wiodąca droga przebiega wał górski Rungur, złożony z glinianych pokładów, nadmokłych w ostatnich czasach tak, żeśmy często przestankami wysiadać musieli, aby zapadającym głęboko w błocie koniom dopomódz. Ślicznie zarysowują się po szczytach Rungurskich rozrzucone białe domki wsi Slobody rungurskiej, jako też kształtnie leżący niżej u stóp pasma Waraleku (407 m.) wioski Rungur. Z opuszczeniem pogórza wyjechaliśmy na rzeczkę Luczkę (poboczną Sopówki), wzdłuż której i przez którą w zygzakowanej linii prowadzi powiatowa droga tak nieszczęśliwie, iż przez nią kilkadziesiąt razy potrzeba było przejeżdżać.

Dobrym zmrokiem stanęliśmy w kasynie *Peczeniżyna,* tego miasteczka, co to niegdyś miało być kolonią Peczynigów, dziś zaś przeciętnie dzieci Izraela. Krótki tu popas koni i ciemność nocy (księżyc nie raczył się jeszcze pokazać,) nie pozwoliły nam rozglądnąć się po tej arcyciekawej stosunkami mieścinie, jak niemniej swobodnie bujać po szczupłym lokalu kasynowym. Gdyby nie nasza muzyka i jednostajny gwar wycieczkowych gości i miejscowej „inteligencji", tych naturalnych przeszkód snu, możnaby marząc obok dwóch „marzycielek" zaspać naprawdę w marzeniach.

Po dwugodzinnej przerwie w jeździe znaleźliśmy się społem na gładkim gościńcu, wiodącym do Kołomyi. Po prawicy od nas długa równina dziwnie odbijała od tajemniczej, po lewicy umieszczonej, Dąbrowy, która na stoku długiego pasma Peczyniża (242 m.) obok drogi się kończy. Jasny księżyc wychylał się częstokroć z za seciny lekkich chmurek i swem srebrzystem światłem oblewał wiosenne drzewa, pełne kwiecia i woni...

Przed mostem na Prucie doznaliśmy nader miłej niespodzianki, którą nam kołomyjska straż ochotnicza sprawiła. Tuż prze samą rogatką na Wierzbiążu, wzdłuż mostu i na wodzie gorzały światełka i lampiony, obok karczmy błyszczały transparenta różowe z powitalnemi napisami powracających „Czarnohorców". Intonował temu bogatemu oświetleniu pochodni i sztucznych ogni silny grzmot pełnych moździerzów i odgłos kapeli miejskiej. Tryumfalny z nią pochód o 11. godzinie w nocy do rzęsiście oświetlonego miasta — uwieńczył świetnie nasze dzieło! Ogólnie odnieśli wszyscy turyści bez wyjątku (prócz chwilowego zmęczenia), z tej wycieczki nader podniosłe wrażenie. Pokrzepieni na duchu, zaczerpnęliśmy świeżego, rodzimego powietrza gór pełną piersią, obarczyliśmy prozaiczny umysł nieśmiertelnemi wrażeniami przecudnych widoków górskich, — szczęśliwi, że tem pierwszem wystąpieniem Zarządu przełamaliśmy skrzepłe lody zobojętnienia dla ślicznej krainy Huculów, inaugurując tem samem godnie kilkumiesięczne istnienie Czarnohorskiego Oddziału. Wyrażenie gorącej podzięki tym osobom, co bezinteresownie, z narażeniem zdrowia i funduszów, pospieszyli komitetowi z chętną pomocą, a tym sposobem do powodzenia naszego kroku się przyczynili, byłoby zu późno złożone. Niech więc wzmianka tego obowiązku, spełnionego zresztą gdzieindziej, starczy za czyn i niewygasłą wdzięczność. Dla naszego *bohatera* pozostanie ta Rokieta pamiętną na długo,... bardzo długo.. Dzisiaj po trzech latach żywo mu tkwi w pamięci jej obraz, a w sercu przechowało się drogie wspomnienie pierwszego (?) uderzenia serca w dwóch naraz istotach, które zdawały się być przeznaczone dla siebie nawzajem aż... do grobu

(Ciąg dalszy nastąpi).

PISMIENNICTWO.

Zasady pisowni niemieckiej, ze słowniczkiem zawierającym przeszło 6000 wyrazów, ku wykazaniu lub ustaleniu pisowni itd. opracował prof Edmund Bączalski. W Stryju 1881. Nakładem autora.

Na 120 stronnictwach formatu ósemki pomieścił autor rzecz nader użyteczną, a niemal nie zbędną dziś dla każdego, kto z nową pisownią niemiecką zapoznać się pragnie, lub jest do tego zniewolony. W roku zeszłym nakazał minister oświaty, zaprowadzenie w całej Austrji nowej ortografii niemieckiej, zasadniczo odmiennej od tej, jakiej, według śp. dra Janoty, we wszystkich szkołach galicyjskich używano. Zamięszanie powstało ztąd nie małe, zwłaszcza, gdy Rada szkolna nakazała nową ortografję zaprowadzić nietylko w klasach najniższych, gdzie młodzież zaczyna się uczyć języka niemieckiego, ale i w najwyższych, gdzie kończy naukę. Nawet abiturjenci, na 3 miesiące przed ukończeniem szkoły, musieli przeuczać się ortografji. Nie małego też ambarasu narobiono nauczycielom, przywykłym do ortografji Janoty. To też prawdziwą zasługę zjednał sobie prof. Bączalski ułożeniem tego dziełka w sposób jasny, a dokładny. Książeczka ta nie ma charakteru pracy umiejętnej, jeno znamię wybornego, praktycznego podręcznika. Możemy ją też zalecić do użytku profesorów i uczniów — a nawet i do użytku każdego, kto po za szkolną sferą zaznajomić się musi z nową ortografją niemiecką.

C. P.

Niemcy czy Moskale? Lwów 1881. Smocza jama. Poznań 1881.

Otrzymaliśmy dwie nowe broszury polityczne: *Niemcy czy Moskale?* i *Smocza jama.* Broszury te, tak jak większa część naszych broszur politycznych, zawierają masę słów a mało treści. Autor broszury „Niemcy czy Moskale" oświadcza się przeciw ugodzie z Moskalami, ponieważ bardzo wynaradawiają Polskę, i przeciw Niemcom, ponieważ wcale nie wynaradawiają, jak twierdzi. Wprawdzie powiada, bardzo wiele byśmy zyskali, gdyby Niemcy zabrali Kongresówkę, ale na tem straciłyby wschodnie prowincje Polski. Autor jest także przeciwnikiem kierunku, jaki miała dawna demokracja polska, t. j. dążenia do niepodległości. Zamiast tego wszystkiego, wypowiada swój program w jednem słowie: Czekać. Rozumuje zaś tak: jeżeli Włochy, kraj *rozbójników i półgłówków* (tak!), Grecja nędna, Bułgarja dzika, tóż samo Serbja i Rumunja, otrzymały swobodę, to tembardziej my ją otrzymać powinniśmy. Więc nic nie robić i czekać! Dla czego my tembardziej mamy tę swobodę otrzymać, tego autor nie powiada. Zwrócimy uwagę autora, że Włochy oprócz rozbójników i półgłówków, których żadnemu krajowi nie brakuje, miały patrjotów nie zadawalniających się czekaniem, ale pracujących wieki całe nad ludem, i że każdy Włoch wiedział o tem, że jest Włochem, chciał niepodległości i zjednoczenia kraju i dążył do tego. Włochy oprócz półgłówków i rozbójników, miały swego Mazziniego, Cavoura, Garibaldego i Wiktora Emanuela, których im możemy pozazdrościć. Nareszcie Włochów nikt nie wynaradawiał, a jednak czekać nie chcieli i pracowali. Może autor, który twierdzi, że przez kilkaset lat Niemcy wcale Szląska nie wynarodowili, zechce pojechać do Wrocławia, stolicy Szląska, do Szczecina, stolicy polskiego Pomorza, do Gdańska, stolicy Prus polskich, a nawet do Poznania, stolicy Mieczysławów, a zmieni swoje przekonanie i nie będzie bałamucił opinji publicznej.

Autor „Smoczej jamy" nie tyle gniewa się na Niemców i Moskali, jak na Pozytywistów, Stańczyków, Socjalistów, na kwestję żydowską i ruską. Wszystkich odsądza od czci i wiary. Wiemy, czego autor nie chce, chociaż nie wiemy dla czego, ale nie wiemy znowu, czego autor chce. Wiadomo, że Pozytywiści mają swój program, mają go Stańczycy i Socjaliści, można się na żaden z tych programów nie pisać, ale w takim razie należy postawić coś innego natomiast. Autor powiada, że on chce Polski, to tyle jakby powiedział, że jest Polakiem, a przecież i Pozytywiści i Stańczycy i Socjaliści są Polakami i niewątpliwie nie gorszymi od autora. Spasowicz i Świętochowski, Szujski, Tarnowski i Limanowski nie tylko chcą Polski, ale pracują dla niej każdy według swego najlepszego przekonania. Nie mamy autorowi za złe namiętnego rzucania się i spotwarzania nawet swoich politycznych przeciwników, jakkolwiek pewne umiarkowanie byłoby pożądanem, bo i ci równąż bronią odpłacają się, ale chcemy wiedzieć, czego autor chce, po co pisał swoją broszurę? bo jeżeli dla nagadania grubjaństw to nie warto było fatygować się. To żadnego celu nie osiągnie.

Amatorom pisania broszur, dalibyśmy jedną radę, aby wprzódy nim zasiądną do pisania, zastanowili się nad tem, czego chcą — bo to czego nie chcą, jest mniejszej wagi.

A. B.

TEATR.

Uroczyście rozpoczęła Dyrekcja sezon zimowy w teatrze hr. Skarbka, bo przedstawieniem znakomitego dramatu Słowackiego „Horsztyński“. Profesor Małecki, w którego ręce złożono wszystkie utwory poety, znalazł rękopism powyższego dramatu zdefektowany, z wydartemi kilkunastu kartkami, wskutek czego są przerwy w samym dramacie, a co ważniejsza, brak końca. Dramat ten mieści się w trzecim tomie pośmiertnych pism Juljusza Słowackiego, wydanych staraniem prof. Małeckiego w r. 1866. Długie lata tylko prawdziwi wielbiciele talentu Juljusza rozkoszowali się w pięknościach *Horsztyńskiego,* nikt jednak nie miał odwagi podjąć się uzupełnienia i dokończenia dzieła wielkiego poety, tak z powodu trudności odgadnięcia zamiaru autora, jak nie mniej zapewne przez pietyzm dla niego — nikt bowiem nie czuł się na siłach dorównać jeniuszowi Słowackiego. Szkoda jednak było pozostawić tak piękny utwór w ukryciu, niezaznajomiwszy z nim szerszej publiczności. Otóż p. J. Mien, znany tłómacz poezyj Słowackiego na język francuski, rozkochany w naszym poecie, zapragnął koniecznie wprowadzić dramat ten na scenę, zastrzegłszy się, że wcale nie porywa się na artystyczne uzupełnienie Horsztyńskiego, lecz zajmie się jedynie układem scenicznym, zapełniwszy luki i dorobiwszy dokończenie. Zamiar ten powiódł mu się dość szczęśliwie i „Horsztyński“ ukazał się po raz pierwszy na scenie krakowskiej dnia 29. marca 1879. Dla sceny zaś lwowskiej podjął się tego zadania p. Aureli Urbański.

Smiesznością by było zastanawiać się nad wartością dramatu, i wdawać się w bliższy rozbiór sztuki, w obec istniejących już prac takich komentatorów, jak prof. Małecki i prof. Tarnowski, powtórzymy więc tylko za ostatnim, że „gdyby „Horsztyński“ był skończony i gdyby był napisany wierszem, byłby najpiękniejszą polską tragedją, ze wszystkich jakie są w naszej poezji.“ Rozchodzi się więc obecnie tylko o pracę pp. Miena i Urbańskiego i jak wypadło przedstawienie „Horsztyńskiego“ na lwowskiej scenie.

Miejsc zdefektowanych w dramacie jest cztery, prócz końca — a mianowicie: a) w akcie 1. brakuje końca pierwszej sceny i początku drugiej, b) końca trzeciego aktu, c) w czwartym akcie końca drugiej i początku 3ciej sceny, a nareszcie pierwszej całej odsłony aktu piątego.

W dorobieniu brakujących pierwszych trzech miejsc tak p. Mien jak i p. Urbański pod względem pomysłu nie wiele się różnią między sobą. Faktura jednak p. Urbańskiego jest o wiele bogatszą, szczególnie w akcie czwartym, scena Szczęsnego ze szlachtą wybornie mu się udała. W ogóle dorobione djalogi p. Urbańskiego odznaczają się nie małą potęgą i siłą, i bardzo zbliżają się do pięknej prozy Słowackiego. Na pierwszą jednak odsłonę aktu piątego, według układu p. Urbańskiego trudno się zgodzić. Pomijamy nieprzyjemne wrażenie, jakiego widz doznać musi na widok trumny ustawionej na katafalku, dalej spiew pogrzebowy działający przykro na nerwy każdego; bo w scenach takich miłował się Słowacki. Za największy jednak błąd uważamy sprowadzenie Szczęsnego do zwłok Horsztyńskiego i na świadka warjacji Salomei i jej śmierci. Wiele argumentów możnaby przytoczyć przeciw takiemu dorobieniu tej sceny, wymienię jednak najważniejszy, że Słowacki nie napisał tak tej odsłony. A można to z calą pewnością utrzymywać, ponieważ z zachowania się Szczęsnego zaraz w drugiej odsłonie wynika stanowczo, że o śmierci Horsztyńskiego i Salomei jeszcze zupełnie nic nie wie — niepodobna bowiem przypuścić, aby w swoich monologach nie wspomniał choć słówkiem o tak wielkich dla niego katastrofach. Wiadomość o nich przyniósł mu niezawodnie dopiero ks. Prokop. Głównem zaś zadaniem dla uzupełniającego sceny brakujące powinno było być staranie odgadnienia zamiaru poety. Że Słowacki rozpoczął piąty akt sceną w domu Horsztyńskiego, a mianowicie warjacją Salomei, to jest wysoce prawdopodobnem, i dlatego układ p. Miena tej sceny wydaje nam się daleko stosowniejszy.

Najtrudniejsza sprawa była niezawodnie z zakończeniem dramatu — P. Mien wypracował dwie alternatywy. W jednej przechodzi Szczęsny do Targowiczan — w drugiej pada ugodzony kulą polską. . z ręki rewolucjonisty. W układzie p. Urbańskiego bohater ginie pod gruzami wysadzonej przez siebie wieży zamkowej, w której znajdują się dowody zdrady ojca. Zakończenie p. Urbańskiego bogate w kilka scen bardzo efektownych i sytuacyj szczęśliwie pomyślanych, jak n. p. zjawienie się ducha Horsztyńskiego, niezawodnie góruje nad zakończeniem p. Miena, wszystkie te trzy jednak rozwiązania nie wytrzymają ściślejszej krytyki.

Wystawienie *Horsztyńskiego* było niezwykle staranne; od dawna już nie widzieliśmy sztuki przedstawionej z taką skrupulatnością i rzec można, z prawdziwym pietyzmem. Wszyscy artyści starali się jak najlepiej wywiązać ze swego zadania — jeżeli zaś nie wszyscy zdołali zadość uczynić wymaganiom sztuki, to nie ich wina, chęci były jak najlepsze. Dyrekcja ze swej strony nie szczędziła kosztów, trudu i zachodu, aby godnie i przyzwoicie wystawić utwór Słowackiego, co jej niezawodnie policzonem zostanie do największych zasług.

A publiczność?

„Ukazanie się *Horsztyńskiego* było wyjątkową uroczystością z niezwykłym obchodzoną nastrojem. Trzy razy teatr przepełniał się od góry do dołu i trzy razy *brakło* biletów“. Tak pisze „Czas“ po przedstawieniach w Krakowie! U nas inaczej, inaczej! Zaledwie krzesła parterowe zapełniły się, loże świeciły pustkami, a nawet parter, przeznaczony dla młodzieży, nie był zaprawdę natłoczony. — Tak było na pierwszem przedstawieniu, na drugiem jeszcze gorzej. Smutne, ale prawdziwe!

H. J.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** „Przyczyny trzęsień ziemi“, rzecz napisana przez prof. Władysława Boberskiego, drukowana w „Przyrodniku“ wyszła w oddzielnej odbitce.

*** Znany podróżnik p. Jan Finkelhaus, którego malownicze pióro znane jest czytelnikom Tygodnia z niedawno drukowanych urywków z podróży po Norwegji — wydał obecnie „Obrazki z życia Północno-wschodniej Afryki“ — pełne świeżości i prawdy.

*** P. Jan Ludwik Kossowicz, w Krakowie, przełożył z języka łacińskiego na polski Tacyta „Agrycola.“

*** Dnia 1-go września wyszedł z pod prasy zeszyt XXIszy „Słownika geograficznego polskiego“ (IXty tomu IIgo) i obejmuje w porządku alfabetycznym opis miejscowości od Gnojno do Górnia.

Z pomiędzy większych artykułów zeszyt ten obejmuje: Godlewo, Godynice, Gogolewo, Golub, Gołąb, Gołdap, Gołębiewo, Gologóry, Gombin, Gopło, Góra, Goraj, Górale, Górce Goręcin, Gorgan, Górka, Górki, Gorlice.

Następny zeszyt XXII-gi wyjdzie 1. października i obejmie dokończenie Go..., oraz początek Gr...

*** W Wiedniu wyszła ciekawa książka, której osnowa dotyczy rodziny słowiańskiej, pióra Lay'a p. t. *Ornamente slavischer nationaler Haus-und KunstIndustrie.*

*** „Kurjer paryski“— pod tym tytułem wychodzić ma w Paryżu dziennik w polskim języku; na programie pisma podpisany jest jako wydawca p. A. Reif właściciel drukarni.

*** W Paryżu na domu nr. 5 przy rue Béranger położono płytę marmurową z napisem: „Spiewak Jan Piotr Béranger, urodzony w Paryżu w roku 1780, umarł w naszym domu w dniu 16-ym lipca 1857.“

*** W Warszawie dr. Juljan Ochorowicz urządził w tych dniach prywatną konferencję magnetyczną, która dała zadziwiające rezultaty.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W Brodach, zebrało się towarzystwo celem ułatwienia żydom rosyjskim wędrówki do Ameryki.

Towarzystwo będzie zaopatrywać wychodźców w pieniądze na drogę do Nowego Świata, gdzie gminy tamtejsze przyjmą nad nimi dalszą opiekę.

*** Wielki turniej szachowy w Londynie, o którym już pisaliśmy, zakończył się.

Trwał on kilka tygodni i był szeregiem zapasów pomiędzy naszym rodakiem Cukiertortem a sławnym angielskim szachistą Blackburnem.

Grano czternaście partyj.

Zwycięzca wygrał siedm, pięć było nierozegranych, dwie wygrał przeciwnik.

Nagroda, którą otrzymał zwycięzca, wynosiła 200 funtów szterlingów, około 2.000 złr.

Zwycięzcą był — pan Cukiertort...

*** Angielski chemik Aleksander Wilson obliczył, że na jeden gram cukru potrzeba około 125 kwiatów koniczyny.

Ponieważ każdy taki kwiat składa się z 60 kieliszków kwietnych, przeto na kilogram cukru pszczoła musi wyeksploatować 7,500,000 takich kieliszków, a na kilo miodu, który zawiera 75 procent cukru, 5,606,000 kieliszków.

Cyfry te dają dostateczne wyobrażenie o olbrzymiej pracy i skrzętności pszczół.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.